

Walenty Kotula

Duchowość mieszkańców małego miasta na przykładzie Głogowa Małopolskiego – wspomnienia z odległego dzieciństwa

„Głogów to jest miasteczko,
a w nim...”

Motto do niniejszej pracy zostało zaczerpnięte z popularnej piosneczki – serenady głogowskiego nauczyciela i historyka, pana Kazimierza Nitki, popularnej przed wojną wśród biesiadującej młodzieży, a często jeszcze śpiewanej na spotkaniach towarzyskich w połowie XX w. Lata wojny okrutnie obeszły się z autorem tekstu. W ostatnich jej dniach (koniec lipca 1944 r.) od wybuchu bomby jedynej zrzuconej na miasteczko został zburzony jego rodzinny dom, a w gruzach zostali pogrzebani najbliżsi. Sam autor pracy „Z najstarszych dziejów Głogowa” wydanej w 1933 r. został w niedługim czasie aresztowany przez NKWD i ślad po nim zaginął. Do dziś istnieją różne wersje jego barbarzyńskiego zamordowania. Został tak potraktowany przez „przyjaciół” za to, że w czasie okupacji aktywnie działał w AK.

Głogów po wojnie otrzymał drugi człon nazwy – Małopolski. Miasteczko zostało założone na surowym korzeniu w roku 1570 przez Krzysztofa Głowę. Już 23 kwietnia 2020 r. będziemy świętować 450-lecie miasta nad Szlachcianką. I w takiej atmosferze m.in. różnych wydarzeń historycznych, społecznych, środowiskowych, kulturowych i rodzinnych przyszło mi żyć przez te kilkadziesiąt lat. Na

pewno miały one duży wpływ na kształtowanie mojej i moich rówieśników świadomości i duchowości.

Trzeba podkreślić, że urodziłem się po zakończeniu II wojny światowej, której echa mocno pobrzmiwały w opowieściach rodzinnych i sąsiedzkich „wieczorową porą”. W czasach moich pacholących lat żyli nasi dziadkowie, wujowie, sąsiedzi, którzy walczyli jeszcze za „czasów austriackich” w szeregach jej armii, później bili się o wolną Polskę w legionach, armii gen. Hallera, walczyli o polskość Lwowa i Kresów, bronili przed nawałą bolszewicką w 1920 r. Warszawy. Te zasłyszane opowieści na pewno „trochę ubarwione” działały na wyobraźnię i głęboko zapadały w sercach i umysłach. Mówię o latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku, w których byliśmy „otumaniani” różnymi informacjami przez liczne publikatory. Na radio nie każdego było stać, telewizja była w powijakach, o komórkach, tabletkach, komputerach nikt nie słyszał. Wprawdzie na Rynku w miasteczku od rana do wieczora nadawała „szczekaczka”, ale starsi uczulali nas, że to taka propagandowa jak z czasów wojny „gebelsówka”. Nie rozumieliśmy może niektórych określeń, ale podchodziliśmy do tego jak pies do jeża. Ludzie starsi – a szczególnie ci, którzy przeżyli traumę wojny, obozów zagłady, zsyłek po 1945 r. do gułagów, opowieści repatriantów, których sporo w tamtych czasach przewinęło się przez Głogów – były dla nas wyrocznią, a poparte aprobatą i potakiwaniem starszych, były dla nas prawdą i świętością. Trzeba było naprawdę umieć znaleźć się w takich sytuacjach, by w czasie różnych zdarzeń nie podpaść władzy i krytycznie często tylko w duchu ocenić sytuację, a o komentarz i wyjaśnienie zwrócić się do osób zaufanych i bliskich.

Tak naprawdę to dom i rodzina były miejscem swobodnego przeżywania. Dziadkowie i rodzice musieli zadbać o przeżywanie duchowe, a odrzucić „wióry i plewy”. Niepoślednią rolę w tej kwestii odgrywał Kościół i niektórzy na-

uczyciele, u których cieszyliśmy się pełnym zaufaniem. Nasi katecheci (byłem ministrantem i chórzystą w kościele) w sposób delikatny, bardzo umiejętny wyjaśniali nam wątpliwości. Odbywało się to w czasie wspólnych spotkań, wycieczek, zabaw, nauki ministrantury. Do dziś mi to pozostało, że nie przyjmuję bezkrytycznie tego, co mówią, a w gronie najbliższych sprawy te omawiam i wyrażam swoje opinie, i nie ze wszystkim się zgadzam. Zawsze przyświeca mi hasło – tak, jak na drodze, „mieć ograniczone zaufanie”.

Duchowość mieszkańców przejawiała się w codziennym życiu domowym. Była i, mam nadzieję, jest mocno zakorzeniona do dziś. Często wspominam rodzinny dom i przebieg dnia powszedniego. Nad wszystkim czuwała Mamusia. Ona wstawała pierwsza i od rana do wieczora krzątała się koło gospodarstwa. Dzień zawsze zaczynała pieśnią: „Kiedy ranne wstają zorze...”, później odmawiała pacierze, śpiewała Godzinki, a po pierwszych dzwonach w kościele „Anioł Pański”. Oczywiście, dbała, by poranny pacierz był przez trzech synów porządnie odmówiony (wieczorne pacierze staraliśmy się odmawiać wspólnie). Do końca życia żegnała nas słowami: „Niech was Bóg prowadzi”.

Innym przykładem duchowości było witanie znajomych słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Przy pożegnaniu wypowiadano zwrot: „Ostańcie z Bogiem”. Mijanych pracujących pozdrawiano słowami: „Szczęść Boże”. Przechodząc koło figur z wizerunkami świętych, mijając kościół, kłaniano się i czyniono znak krzyża, a mężczyźni uchylali nakrycia głów. Codziennie w drodze do szkoły wstępowaliśmy do kościoła na modlitwę. To była głęboko zakorzeniona tradycja, bo tak robiliśmy również w liceum w Rzeszowie. Wstępowaliśmy do Fary, prosząc Panią Rzeszowską o błogosławieństwo.

Rytm domu w tamtych czasach był wyznaczany przez cykle przyrody. Większość mieszkańców Głogowa to byli właściciele gospodarstw rolnych o różnych arealach. Każda

czynność związana z pracami polowymi była polecana Panu Bogu z prośbami o pozytywne efekty trudu. Po poświęceniu wody i ognia w Wielką Sobotę gospodarz szedł pokropić pola palmą z Niedzieli Palmowej, kotki bazi z wielkanocnych palm najczęściej dzieci połykały, by chroniły je przed chorobami. Wodą święconą kropiono zboże pod zasiew i ziemniaki do sadzenia. Witki brzozowe ułamane z ołtarzy Bożego Ciała były również wtykane w pola, by szkodniki nie niszczyły plonów. Duchowość przejawiała się wyglądem wnętrza izby. Zawsze nad łózkami sypialni były umieszczone obrazy Matki Bożej i Pana Jezusa. W pomieszczeniu wisiały obrazy Ostatniej Wieczerzy i Anioła Stróża oraz obrazy świętych. W kuchni popularne były makatki z różnymi pobożnymi życzeniami. W każdym domu musiała znajdować się palma, symboliczne dary z Trzech Króli, gromnica, zioła poświęcone „na Zielną”, które miały chronić dom przed nieszczęściami. Przy drzwiach wejściowych była kropielniczka. Wychodząc z domu maczano w niej palce i robiono znak krzyża, bo przecież „bez Boga ani do proga”.

Jak w wielkim poszanowaniu był chleb, niech świadczy fakt, że przed krojeniem czyniono znak krzyża na bochnie. Czy ten zwyczaj przetrwał do dziś? Do posiłków zasiadała cała rodzina i spożywanie jadła rozpoczynały krótka modlitwa i znak krzyża. Zdarzało się, że kromka spadła na podłogę. Nie wyrzucano jej, a z uszanowaniem całowano. To był wyraz podzięków za trud dla pracy i jej owoców.

Kto przebywał w Głogowie choć krótką chwilę, zauważył na pewno rozległy rynek. Był on w przeszłości i jest do dziś miejscem bardzo ważnym dla mieszkańców. Zwróć uwagę tylko na rolę, jaką pełni to miejsce w czasie różnych uroczystości kościelnych. Po obu stronach ratusza znajdują się w rynku dwie figury ufundowane przez księżną Urszulę Lubomirską jeszcze w XVIII w. Święty Florian stojący na wyniosłym cokole chroni miasteczko przed nieszczęściami pożarów, a Matka Boska z wysokości postumentu ota-

cza opieką jego mieszkańców. Figura Królowej Niebios jest i była miejscem częstych spotkań. Tu gromadzono się w dni majowe, by śpiewem litanii i pieśni maryjnych oddawać cześć Bożej Rodzicielce, tu w przeszłości młodzi, idąc po sakramencie małżeństwa, prosili o błogosławieństwo (obecnie o łaski proszą w kaplicy Pani Głogowskiej – Uzdrawienia Chorych, w głogowskiej farze), tu odbywały się uroczystości rocznicowe w czasie zaborów i niewoli. Do dziś na cokole figury znajduje się pamiątkowa tablica 500-lecia wiktorii grunwaldzkiej i druga współczesna, z roku 2010, upamiętniająca to wydarzenie. Od niedawna w tej części plant błogosławi głogowianom z wysokości pomnika święty Jan Paweł II. Często przebywam w tym miejscu i trochę żal, że coraz mniej przechodniów przystanie choć na chwilkę, by oddać cześć. Tłumaczę sobie to zabieganiem ludzi i szybkim tempem dnia codziennego.

Od wielu, wielu lat dla mieszkańców grodu Krzysztofa Głowy wydarzeniem jest coroczna pielgrzymka na święto Matki Boskiej Zielnej do Leżajska. Kult Matki Boskiej Leżajskiej jest głęboko zakorzeniony i rokrocznie rzesza pątników udaje się do tego świętego miejsca. Charakter pielgrzymek przez lata uległ zmianie, ale to znak czasów. Jak takie pielgrzymowanie wyglądało w latach mojej młodości? Są to już dość odległe czasy, ale pamiętam je dobrze. Była to chyba moja pierwsza samodzielna podróż. Zostałem oddany pod opiekę cici Zosi Jaroniowej (najstarsza siostra Mamusi). Dla mnie, kilkuletniego chłopca, musiało to być ogromne przeżycie, skoro pamiętam je tak dobrze. Leżajsk w mojej chłopięcej świadomości był tak odległy, jak przysłowiowa baśniowa kraina „za górami, za lasami”. Nasłuchałem się od starszych o pielgrzymowaniu do tego sanktuarium i cudach, jakie miały tam miejsce w czasach odległych i współczesnych. Tym bardziej cieszyłem się, że obdarzono mnie już takim zaufaniem. Kompania, bo tak określano grupę pątników, zbierała się skoro świt w ko-

ściele pod wezwaniem Trójcy Przenajświętszej na mszę św. i błogosławieństwo księdza proboszcza. Po tych uroczystościach wyruszyliśmy na pątniczy szlak. Dzisiaj ogromną większość wśród pielgrzymów stanowi młodzież (i dobrze, że to wspólne przeżywanie „w drodze” gromadzi tylu młodych). Starsi do Leżajska dojeżdżają własnymi samochodami. Taka podróż trwa zwykle kilkadziesiąt minut. Pół wieku temu wyglądało to inaczej. Z perspektywy lat była to ciężka pokutnicza wyprawa, trwająca cały dzień. Pierwsze utrudnienie spotykało nas jeszcze w Głogowie, na tzw. Szpitalniówce. Dzisiaj to pięknie zabudowana, wyasfaltowana ulica Larymowicza. Kiedyś trzeba było brnąć przez nią po kolana w piachu. W okolicach Leśnej Woli pojawiły się wątpliwości, czy podołam w drodze do Pani Leżajskiej. Wprawdzie za kompanią jechały konne wozy, które wiozły nasze tobołki i ludzie starszych poczuwających się do obowiązku pielgrzymowania, dania modlitewnego przykładu i zapewne sprawowania kurateli nad niesforną młodzieżą. Nie było mowy o tym, bym skorzystał z pomocy woźniców. Jak przede wszystkim wyglądałbym w oczach rówieśników? Moje ambicje i postanowienia ległyby w gruzach, a ile wstydu najadłbym się. To samo przeżywali moi koledzy rówieśnicy, ale nikt się nie przyznawał do tych słabości. Wytchnieniem były przystanki koło przydrożnych czy rozstajnych figurek, gdzie kompania zatrzymywała się na krótką modlitwę.

Kiedy po paru godzinach zobaczyłem wieżę kościoła w Sokołowie, wiedziałem, że podołam. Po tych pierwszych słabościach skupiliśmy się na duchowym celu pielgrzymki. Kto choć raz był na szlaku pątniczym, ten wie, że fizyczne dolegliwości nie są żadną przeszkodą i barierą. Przeżywanie duchowe jest ponad wszystko. Pierwsze spotkanie z bazyliką w Leżajsku pozostało mi głęboko w pamięci i choć przeżyłem już trochę, to ono jest na pierwszym miejscu. Olbrzymie wrażenie zrobił na mnie gmach świątyni. Jej

ogrom, wystrój wnętrza robił wrażenie (wtedy nie zdawałem sobie sprawy z jakiego okresu architektonicznego bazylika pochodzi), a kiedy usłyszałem organy i śpiew braci zakonnych, znalazłem się w przysłowiowym siódmym niebie. Wiele lat później poznałem niejako „od podszewki” chór leżajski, w którym królował organista pan Chorzępa (dobry znajomy i sąsiad rodziny mojej przyszłej żony, ale o tym za chwilę).

To moje dziecinne i młodzieńcze pielgrzymowanie było znakiem dla mnie, o którym przekonałem się już jako dorosły. Mój los tak się potoczył, że czterdzieści parę lat temu poślubiłem Halinkę, która mimo że urodziła się w Przemysłu, jest bardzo mocno związana rodzinnie po mieczu i po kądzieli z Leżajskiem. Kompanie głogowskie na spoczynek zatrzymywały się na Podklasztorzu w Leżajsku w prywatnych domach. Jak się okazało (wiele lat później), kiedy z Babcią mojej żony wspominaliśmy tamte czasy, to jako pacholę przebywałem w domu Babci, śpiąc – jak inni pątnicy – na słomie rozłożonej w pokojach i na piętorku. Kiedy Babcia poznała moją Mamusię, okazało się, że znają się jeszcze z czasów przedwojennych, kiedy Mama co roku udawała się na pielgrzymkę do leżajskiego sanktuarium, a że była osobą dowcipną, wesołą „wpadła w oko” leżajskiej gospodyni. Ta w przyszłości została babcią również jej syna poprzez ożenek z jej najukochańszą, najstarszą wnuczką Halinką. Tak to może trochę okrężnymi drogami Pani Głogowska i Leżajska połączyły nas. Zdarzało się, że wspomniany organista zezwalał nam na wejście na chór i niejednokrotnie przekonywałem się nie tylko o maestrii mistrza, lecz i o olbrzymich możliwościach słynnych organów. Gdzieś w zakamarkach pamięci pozostał fragment pątniczej pieśni z tamtego okresu, śpiewanej przy pożegnaniu sanktuarium. Przytaczam jej urywek, bo nie jest już „modna” wśród współczesnych pielgrzymów i praktycznie zapomniana:

Żegnamy Cię teraz,
Kiedy odejść mamy,
Błogosław nam,
Nasza Matko miła,
Bo nadeszła już odejścia chwila
O! Maryjo Leżajska!

W swoim życiu odwiedziłem sporo sanktuariów maryjnych, ale głogowskie i leżajskie są najbliższe memu sercu chyba dlatego, że od najmłodszych lat były stale obecne w mojej świadomości i rzeczywistości. Dwa wydarzenia związane z pielgrzymowaniem utkwiły mi jeszcze w pamięci. Świadczą one o religijności i duchowym przeżywaniu Polaków. Kilkadziesiąt lat temu jechałem z rodziną na letni wypoczynek nad morze. Był sierpień; czas pielgrzymowania narodu na Jasną Górę. Gdzieś na wysokości Koinina, a może Sieradza spotkaliśmy pielgrzymów. Oni byli w połowie drogi do Częstochowy, my również. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, przecież w tym okresie Polska zamienia się w wielki szlak pątniczy. Co zatem zrobiło na nas olbrzymie wrażenie? Większość uczestników tej pielgrzymki poruszało się na wózkach inwalidzkich, a przewodził im starszy już wiekiem kapłan, również przykutyy do wózka. Niesamowite wrażenie i przeżycie! Jakże wymownie świadczy o religijności, determinacji i duchowości tamtych pielgrzymów. Zatrzymaliśmy się na chwilę. Nasze przeżycie było tak mocne, że nie mogłem prowadzić samochodu, a dzieci nasze na ogół bardzo gadatliwe – zaniemówiły. Przez dłuższą chwilę nic do siebie nie mówiliśmy. Do tego zdarzenia często wracamy, chociaż minęło od niego trochę lat. Podobne wrażenie, ale wywołujące inne uczucia i przeżycia, to spotkanie na Jasnej Górze pielgrzymów z całej Polski dotkniętych głębokim kalectwem fizycznym i dysfunkcjami psychicznymi. Ich żarliwe, głośnie modlitwy oraz skupienie robiły na zgromadzonych głębokie wrażenie. Takie właśnie

spotkania utwierdzają jeszcze bardziej w wierze i duchowym jej przeżywaniu.

Odkąd pamiętam, bogatą oprawę ma odpust parafialny i święto Bożego Ciała. W to święto tłumy mieszkańców gromadziły się i gromadzą na plantach, by jak najbliżej być Najświętszego Sakramentu, bo przecież Pan „...zagrody nasze widzieć przychodzi i jak się Jego dzieciom powodzi...” W naszym miasteczku fara ma wezwanie Trójcy Przenajświętszej i w tym dniu odbywa się odpust parafialny. Drugi odpust jestznaczony w święto Matki Bożej Śnieżnej (w Głogowie od kilku lat jest nowa parafia na Niwie, a za patrona ma św. Józefa i odpust odbywa się w to święto patronalne). Kultowi Matki Bożej Śnieżnej poświęcę również parę zdań.

Odpust w Głogowie był przed laty wielkim wydarzeniem nie tylko parafialnym. Najważniejsza była uroczysta suma, ważne były także towarzyszące wydarzenia. Już od świtu pojawiały się przy kościele w Rynku liczne stragany, które przyciągały świętujących licznymi atrakcjami i błyskotkami. Nie miały wiele wspólnego z duchowym przeżywaniem, był to koloryt tego ważnego dla parafii święta. Wczesnym rankiem wokół kościoła i jego otoczenia pojawiały się furmanki, wozy konne, nawet bryczki, bo odpust w Głogowie przyciągał rzesze z rozległej przed kilkudziesięciu laty parafii. Pojawiali się goście z nieco odległych parafii głogowskiego dekanatu – Przewrotnego, Zaczernia, Mrowli, Rudnej Wielkiej, Bratkowic czy Wysokiej Głogowskiej. Na sumie odpustowej trudno było wbić przysłowiową szpilkę w tłum wiernych. Po uroczystościach w świątyni parafianie i goście udawali się „na stragany”. Czego tam nie było! Dzieciarnię interesowały przede wszystkim zabawki i różnorodne słodczyce. To był czas, kiedy rzemiosło miało się jako tako i w kramach pojawiały się zabawki – cacuszka z drewna, ceramiki, a przede wszystkim pistolety na kapsle, korkowce i drewniane hukawki. Obowiązkiem rodziców chrestnych było obdarowanie chrześniaków „drobnymi”,

więc dysponowaliśmy swoimi funduszami. Nieco starsza młodzież, przede wszystkim „kawaliry”, swoim lubym czy bliskim sercu dziewczętom fundowali sercowate pierniki lub tzw. całusy (niby ciasteczka nawleczone na nitkę, które przypominały korale). Takie serca i całusy otrzymywała moja Mamusia od Taty, a i ja przejąłem tę tradycję i obdarowywałem moją Halinkę tą (dopóki były na stoiskach) oznaką miłości i wierności. Ostatnio nie zauważam ich. Może zastąpiły je bardziej nowoczesne smakołyki? Przecież świat się zmienia i ta tradycja również.

Nieco inny charakter miał odpust na Śnieżną. Uroczystości odbywały się w kościele parafialnym, a także w tzw. kościółku na Piasku. Od XIX w. jest tu parafialny cmentarz i miejsce wcześniejszych objawień Matki Bożej. Przed tym świętem parafianie doprowadzali groby przodków do należącego porządku. To były czasy, że groby były ziemne, obłożone darnią umocowaną specjalnymi kołeczkami, a krzyże w większości drewniane. Groby posypywano świeżą ziemią lub piaskiem, który był zawsze pod ręką. Odnawiano epitafia nagrobne i umieszczone na nich zawołania do Boga i prośby o zbawienie dusz pogrzebanych tu głogowian. To wszystko czyniono po to, by w czasie mszy odpustowej połączyć się duchowo z przodkami śpiącymi wiecznym snem na Piasku. Niedaleko kościółka (pełni obecnie funkcję kaplicy pogrzebowej, a w ołtarzu znajduje się obraz Matki Bożej Śnieżnej) jest inna kapliczka – miejsce objawień Pani Głogowskiej. To miejsce kultowe. Według legendy to właśnie tutaj, gdzie tryskało źródółko, objawiła się dwóm niepełnosprawnym żebrakom Matka Boża. Duchowość tego miejsca i kult maryjny najlepiej odda prastara pieśń dziadowska. Śpiewana jest w to święto, a w niektórych domach dość popularna do dziś i przekazywana z pokolenia na pokolenia. Tekst przytaczam za Franciszkiem Kotulą¹:

¹ F. Kotula, *U źródeł*, KAW, Rzeszów 1983, s. 40.

Kto chce słyszeć o obrazie,
O Maryi w każdym razie;
Maryja Głogowska zwana
Nowo ukoronowana
 Syna swego ubłagała,
 Z nami w Głogowie być chciała.
 Wieczną rzeką przy płynęła,
 Aż tu na Piasku stanęła.
Szło trafunkiem dwóch żebraków,
Ślepy, chromy, wraz idący,
Ujrzał Maryję stojącą
I te słowa przemówiącą.
 Idźcież mi do gwardyjana
 Tutejszego zamku pana.
 Niechaj mi klasztor zbuduje,
 Przez was ja to rozkazuje.
A jakżesz my tam pójdziemy,
Gdy wiary mieć nie będziemy?
Otóż ten dokument macie,
Że kalectwa pozbywacie.
 No i zaraz na te słowa
 Dwóch kaleków było zdrowych.
 I sam pan też sercem tknięty,
 Pyta ich o obraz święty.
Pójdźcież, pójdźcież, pójdę z wami
Podziękować za to Pani.
Dziękować Matce będziemy,
Że kalectwa pozbędziemy.
 Na głód, wojnę się zanosi,
 Któż za nas Boga uprosi?
 Jakżesz nie ty, Matko Boska,
 Najświętsza Panno Głogowska.

Przez lata i wieki cudowne źródółko w studziencie miało moc uzdrowicielską. Jak głosi miejscowa legenda, przed laty miejsce to zostało sprofanowane, a źródółko straciło uzdrowicielską moc. Dzięki staraniom i opiece księdza dziekana

Adama Samela zaniedbana nieco kapliczka i miejsce objawienia zostało odrestaurowane i służy wiernym. Jestem często na cmentarzu i zawsze zatrzymuję się przy kapliczce na krótką modlitwę. Spotykam tam znajomych, którzy ślą swoje prośby i błagania do Pani Głogowskiej – Uzdrawienia Chorych. Ksiądz prałat jest proboszczem tutejszej parafii od wielu lat. Jego ogromną zasługą jest fakt, że bardzo się stara, by kult maryjny w Głogowie trwał i świecił pełnym blaskiem. Starania jego to też proces pogłębiania duchowości parafian i przybyszów. W ostatnich kilkunastu latach rozbudował kościół parafialny. Był inicjatorem budowy kościoła na Niwie, a przede wszystkim doprowadził kaplicę Matki Bożej Głogowskiej do wyglądu na miarę XXI w. Stworzył prawdziwe sanktuarium maryjne, w którym u stóp Pani Głogowskiej przez cały dzień gromadzą się wierni, wyznają Jej swoje troski, dziękują za łaski i proszą o wsparcie.

Przez kilkadziesiąt lat mego życia oblicze miasteczka bardzo się zmieniło. Jest ono to samo, ale nie takie samo. Nie widać na nim ciężaru prawie półtysiącletniego istnienia. Zmienia się, rozrasta się. Zmieniają się także zwyczaje, upodobania mieszkańców. Trochę żal, że przed Rezurekcją (kiedyś to było skoro świt, obecnie jest nieco inaczej) nie ogłasza Zmartwychwstania trębacz, który przed laty głośnym sygnałem oznajmiał fakt pustego grobu. W czasie rezurekcji nie słyhać huku wystrzałów na chwałę zmartwychwstania Pana. Żal, że w okresie Bożonarodzeniowym nie krążą po miasteczku grupy kołędników z szopkami i śpiewem: „Przynosim szopę, gdzie się Jezus rodzi...” lub inny groźny okrzyk skierowany do konkurencji, która wtargnęła nie na swój teren: „Szopa gruch”. Co pozostało z tamtych lat? To zwyczaj trzymania straży przy Grobie przez miejscowych fajermanów, czyli strażaków. Ciekawe są przeżycia weteranów – strażaków, bo w czasach „smutnych” próbowano zabronić i tego, ale przemyślność i pomysłowość zawsze brały górę nad ograniczeniami i zakazami.

* * *

Cieszy fakt, że do naszego życia wkraczają inne wydarzenia, które świadczą o duchowości społeczeństwa. Tradycją staje się coroczny orszak Trzech Króli. W to duchowe przeżywanie jest zaangażowana spora grupa społeczeństwa: dzieci, młodzież i starsi. Orszak, który „wędruje” po rynku, gromadzi wielu mieszkańców miasteczka i okolicy, a kończy się wspólnym śpiewaniem kolęd w domu kultury. W to wydarzenie angażuje się kościół, szkoły, dom kultury, stowarzyszenia kulturalne. Tradycją staje się rodzinny konkurs kolęd organizowany przez szkołę w Głogowie, konkurs maryjny organizowany przez nauczycieli i młodzież z Bud Głogowskich (ma już zasięg wojewódzki). Od wielu lat dom kultury organizuje konkursowy przegląd teatrów jasełkowych i grup kolędniczych (w tym roku już XXX). Ostatnio rozrósł się i wyszedł daleko poza opłotki miasteczka. Jest on niejako nawiązaniem do starej tradycji kulturowej. Jeszcze w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku były wystawiane w domu kultury przedstawienia jasełkowe i pasyjne. Animatorem ich był organista z niedalekich Bud Głogowskich, wywodzący się z Głogowa pan Edward Kotula. Pomagał mu pan Mieczysław Cisek. W roku 1956 także brałem udział w takim spektaklu jako syn Heroda. Pożółkłe zdjęcia są niemyym świadectwem tych wydarzeń. Jakże cieszą spotkania w dniu Odzyskania Niepodległości w domu kultury, kiedy pieśnią patriotyczną czcimy wydarzenia sprzed lat.

Nie sposób wymienić wszystkiego, co świadczy o przeżywaniu i o naszej duchowości. Jest ono inne niż za czasów mojego dzieciństwa. Tamto głęboko zakorzeniło się w sercu, a to współczesne, mimo że trochę ma inny charakter, też cieszy, bo przecież „...Serce rośnie, patrzac na te czasy”.